

Dawid Juraszek

2647 Odyseja Sarmacka

Pierwodruk w miesięczniku „Science Fiction, Fantasy i Horror”

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

Rok 2647 był to zwykły rok, w którym żadne znaki na niebie i ziemi nie zwiastowały klęsk ani nadzwyczajnych zdarzeń. Jak wspominają bazy danych, w przeciwieństwie do poprzedniego roku rupie nie wyroiły się nad miarę z Ornych Pól, inaczej niż w następnym nie zdarzyło się zaćmienie słońca, ani też układu nie nawiedziły komety, jak w minionej dekadzie. Chyba tylko zima ustąpiła wcześniej, niż najstarsi kolonizatorzy pamiętali – już po pięciu tuzinkach śnieg stopniał, równiny zaczerwieniły się, istryksy poczęły huczeć, a myszury ryczeć po zagrodach.

Ale dość tej ekspozycji, bo oto nadarza się okazja, by wejść w sam środek opowieści, której bohaterami nie są kalendarze, astronomie, klimaty i hodowle, lecz istoty rozumne. Ledwo bowiem sine słońce osrebrzyło dachy, gdy skrzypnęły drzwi we wschodnim skrzydle dworu i na chłód poranka wyszły dwie młode kobiety w powłóczystych szatach o mnogich koronkach i falbankach. Jedna twarz ma kamienną, druga ożywioną; w ich cichych głosach brzmi tłumiona pasja.

– Pojąć nie mogę, co się dziś dzieje z waszmość panną! Jeszcze nigdy jej tak smutnej nie widziałam!

– Moja Anielu, dajże mi spokój teraz.

– Ale przebóg! Czy to dziś dzień smutku? Przecie goście przyjeżdżają!

– I to mię właśnie trapi.

– Jakże to, panno Klaro!

– Potem, Anielu droga, potem. Niech pierwiej odreaguję.

Hangar krył się za gęstym szpalerem zmodyfikowanych genowo brzózek – oazy zieleni w czerwono-żółtym krajobrazie. Wrota szczęknęły i rozsunęły się na telepatyczne polecenie zbliżającej się panny; zastawione sprzętem rolniczym wewnątrz rozblęskło przechwyconym poprzedniego dnia światłem.

– Lecisz ze mną? – spytała Klara.

– Waszmość panna zawsze o to pyta – odpowiedziała służka, cofając się między drzewa. – A przecie przestworza wciąż przestraszają mię mocno.

Klara wzruszyła ramionami i weszła do hangaru. Po chwili z wnętrza dobiegł furkot, a egzogiez wystrzelił ku niebu i wnet zmienił się w jasną kropkę na rozświetlającym się firmamencie. Aniela przysiadła na zbitej z polan ławce pośród brzózek i patrzyła, jak spomiędzy niskich wzgórz na widnokręgu unosi się złote słońce, rozczesując promieniami łany kosmożyta.

Wiedziecie, że Aniela była to panna wcale bystra, choć niezbyt uczona. Urodzona na Krainie, nigdy nie odwiedziła nawet najbliższych skolonizowanych układów, nie wspominając o Ziemi. Dorastała wraz z Klarą, której służyła od najmłodszych lat, ale kiedy córka pana Antoniego Staruszkiewicza latała na inne kontynenty i planety dla nauki lub rozrywki, jej służka wyprawiała się co najwyżej do niedalekiej rodzinnej Nowobazki. Dotąd myślała, że zna panienkę jak siebie samą, ale od kilku dni Klara była jakaś inna, nie rzutka i radosna, lecz zgaszona i zamyślona. Cóż mogło ją tak rozstroić?

Ale nie dane jest Anieli ciągnąć tych rozważań, bo oto słyhać elektryzujący szum, a zza drzew wyłania się patykowata postać kosmity w obcisłych lśniących szatach.

– Pani, racz mej śmiałości darować! – rozległ się sykliwy głos. – Przychodzę i przeproszać, i razem dziękować. Przeproszać, że jej kroki śledziłem ukradkiem, a dziękować, że byłem jej dumania świadkiem. Tyle ją obraziłem! Winienem jej tyle! Przerwałem chwile dumań, winienem ci chwile natchnienia! Chwile błogie! Potępiaj obcego, ale sztukmistrz śmie czekać przebaczenia twego! Na wielem się odważył, na więcej odwagę. Sądź!

To rzekłszy kosmita dmuchnął, a powietrzna rzeźba popłynęła ku zaskoczony Anieli.

Dzieło przedstawiało ją samą, pogrążoną w zadumie na drewnianej ławeczce pośród rozświetlającego się w promieniach słońca lasku. Zdawało się, że blask narasta, ale było to

tylko mistrzowskie złudzenie, nadające rzeźbie pozór ponadczasowości.

– Piękne – szepnęła Aniela i z wdzięcznością spojrzała na kosmitę. – Jak ja się waćpanu Leandrowi wywdzięczę?

– Jeśli wolno mi prosić, dobre słowo proszę szepnąć o mię panience. O tę łaskę wnoszę.
– Obcy pokłonił nisko głowotułów i rozsunął we wdzięcznym uśmiechu okolone wypielęgnowaną bródką szczękoczułki.

– A po cóż ja? – zdziwiła się Aniela. – Klara wnet wróci i...

Wszystkie oczy Leandra zasnuły się smutną mgiełką.

– Niestety! Gniewu ojca nie uszedłbym chyba. Racz panno spełnić prośbę. Na mię czas już. Bywaj!

Z tymi słowy pokłonił się raz jeszcze i pomknął z powrotem ku dworowi.

W samą porę, bo oto furkocze egzogiez i Klara ląduje w obłoku pary. Oczy skrzą się jej radośnie; na widok rzeźby unoszącej się tuż obok Anieli rozbłyskują jeszcze silniej.

– Leander? – spytała szybko, podbiegając do lotnego dzieła i wpatrując się w nie z zachwytem.

– Przed chwilą odszedł – uśmiechnęła się Aniela. – Kazał szepnąć ci o nim dobre słowo...

Radość znikła z oczu Klary, a koincydencja sprawiła, że jednocześnie jakaś chmurka przesłoniła złote słońce, przez moment skazując okolicę jeno na siny blask.

Przenieśmy się teraz do wnętrza dworu, gdzie pani Staruszkiewiczowa *de domo* Bywalska kończy właśnie poranną toaletę.

– Ach, mościa pani, cóż to za mistrz! Wczoraj światło było tak dobre, że mógł zacząć rzeźbić mię pełnowymiarowo. Jakież to było cudne arcydzieło! A jakie akuratne! Chciałabym móc ci je pokazać. Niestety! Prawdziwy to artysta, bo wersje robocze niweczy bez żalu. Tak i zniszczył wczorajszą rzeźbę. Ach! Nie mogę się doczekać, aż ukończy pracę!

Istotnie; nie byle jakiego artysty trzeba, by przeobrazić wątpliwy surowiec w istne arcydzieło. A trzeba wam wiedzieć, że pani Staruszkiewiczowa i w latach, i w urodzie posunięta była *ad extremum*.

– Cóż to, moja droga? – zwróciła się do swego gościa, pani Jowialskiej, która nie zdążyła w porę przemienić malującego się na jej obliczu zwątpienia w szczere zainteresowanie. – Czy coś jest nie tak?

Poniekąd było. Otóż pani Staruszkiewiczowa mimo grubo ponad stu lat na opasłym karku twarz miała doskonale gładką, co w połączeniu z zamięłowaniem do wszelkich frykasów sprawiało, że nieuprzedzony człowiek mógł sądzić, iż ma przed sobą nadmuchany do granic wytrzymałości balonik z neogumy. Trudno się więc dziwić pewnej ostrożności pani Jowialskiej w przyjmowaniu na wiarę zachwyty gospodyni nad rzekomą akuratanością cudnego arcydzieła.

– Czy szanownego małżonka też będzie ów artysta rzeźbił? – spytała z głupia frant.

Pani Staruszkiewiczowa nachmurzyła się. Gniewnym gestem odesłała służki, pacykujące jej twarz i trefiące włosy.

– Przecie mościa pani wie – powiedziała niechętnie, sięgając po kołacz i kawę – że mąż mój nie darzy cudzoplanetników zbytnim respektem. Nawet mówić z nimi nie chce, a jeśli mówi, to jak do byle sług. Gdyby nie moje nalegania, nie wpuściłby za próg żadnego kosmity! Mistrzostwo jednak pana Leandra... Och, otóż i on!

W drzwiach stanęła patykowata postać i pokłoniła się obu paniom bardzo nisko.

– Zaszczyt to dla mię wielki, miłościwe panie – mówił, szarmancko muskając ich dłonie szczękoczułkami.

– Chętnie ujrzę waćpana przy pracy – uśmiechnęła się pani Jowialska. – Być może i ja zlecę mu uwiecznienie mię i mej rodziny.

– Będę sługą dozgonnym, jeśli to się stanie – pokłonił się kornie i obrócił pełen nadziei

wzrok na panią Staruszkiewiczową. – Czy małżonek waćpani zmienił swoje zdanie?

– Coś mi się zdaje, że bardziej waćpanu zależy na wyrzeźbieniu mej córki – powiedziała z przekąsem pani Staruszkiewiczowa.

– Nie więcej jak jej ojca, a małżonka pani – odparł Leander, znów się kłaniając. – Ochoty do kompletu chyba nikt nie zgani?

– Zgani czy nie zgani, rzeźb waćpan, póki światło dobre – burknęła rozeźlona czegoś Staruszkiewiczowa i otarła usta z okruszków.

Kosmita pokłonił się po raz n-ty i wyjął miniaturowy bioskaner. Modelka poprawiła na sobie bogate szaty i zastygła w wystudiowanej pozie na tle obitej syntjedwabiem ściany. Leander uruchomił urządzenie. Przez pokój przemknęły cieńsze od włosa nici innoplanetarnego światła, na okamgnienie ściśle oplatając korpulentną sylwetkę pani Staruszkiewiczowej. Kiedy zgasły i zwinęły się z powrotem do bioskanera, nauczona doświadczeniem matrona od razu klapnęła na otomanę.

– Widzisz, moja droga – szepnęła do pani Jowialskiej. – Teraz obrabia mój skan, aby wydobyć zeń całą dobroć i w rzeźbie kunsztownie oddać.

Leander istotnie jął się teraz cyberdłuta i skomunikowywał je z bioskanerem. Wszystkie oczy rozmigotały mu się, a szczękoczułki wykrzywiły w grymasie koncentracji, kiedy telepatycznie sterował urządzeniem. Wreszcie zabrzmiał elektryzujący szum, a nad wzniesionym ku sufitowi cyberdłutem znikąd uformował się kształt. Obie kobiety wpatrzyły się w rzeźbione powietrze szeroko otwartymi oczyma i z szeroko otwartymi ustami.

– Wolałbym córkę rzeźbić, niż to pudło stare – mruknął Leander na stronie.

– Co waćpan rzecze? – Staruszkiewiczowa spojrzała bystro.

– Że jesteś pani piękna ponad ludzką miarę!

Niewidoczne ostrze cyberdłuta skończyło wyłaniać z powietrza posagową postać modelki. Przejrzysta zrazu rzeźba w oczach zyskiwała materialność, zatrzymując się jednak o włos od przeistoczenia się w namacalny obiekt. Zwiewne, lecz niewątpliwie rzeczywiste dzieło ruszyło powoli ku obu neoszlachciankom, napędzane podmuchem z aparatu gębowego Leandra.

– Cóż za mistrzostwo, cóż za talent! – entuzjazmowała się pani Staruszkiewiczowa.

– Doprawdy piękne! – szeptała poruszona pani Jowialska.

Rzeźba zatrzymała się łokieć od zachwyconych twarzy i powoluteńku obróciła wokół własnej osi, prezentując się w całej okazałości. A potem zniemacka implodowała. Kobiety wzдрыgnęły się zaskoczone.

– Czy i ta nie była idealna? – spytała kwaśno Staruszkiewiczowa.

– Byłem już bardzo blisko, lecz wciąż nie u celu. Aby stworzyć ideał, trzeba... – ujrzał w oczach klientki pewne nieukontentowanie i dokończył po jej myśli – ...dni niewiele.

Uklonił się, zabrał aparaturę i wyszedł.

My także zostawmy tymczasem obie panie własnemu losowi i wróćmy do panny Klary oraz jej smutnej miny.

– Ja już na boleść waszmość panny patrzeć nie mogę, taka mię żalność bierze. Cóż trapi waćpannę?

Klara nie odpowiedziała od razu. Szła zamyślona, obrywając listki kosmoadaptowanych odmian świerzopu, gryki i dzięcielin. Wreszcie obróciła na Anielę swe piękne oczęta.

– Ach, Anielo droga! Ty nie wiesz, co się w mej duszy dzieje!

– Cóż by to takiego było?

– Już muszę ci wynurzyć wszystko, co mam na wątrobie. Wiadomo ci dobrze, że pora mi iść za mąż. Dotąd ojciec nie więził mej woli. A ja już z dawna postanowiłam sobie iść za głosem serca. Nie śpieszyłam się, wiedząc, że nie muszę, i czekałam, czekałam, na tego jednego, jedyne, na mego wybranka... A teraz, kiedy poczułam, że czekać już mi nie trzeba...

Załkała nagle. Zatrzymały się i usiadły w kosmotrawie. Aniela nie popędzała panny, czekała jeno cierpliwie, aż ta odzyska dech. Chmary kaśliwych rupi rzuciły się na obie w wyraźnie złych zamiarach, lecz minogeneratory pola siłowego umieszczone w perlach naszyjników skutecznie trzymały je na dystans.

– Ojciec – podjęła Klara, pociągając noskiem – wynalazł człowieka nazwiskiem Oszukalski, za którego chce mię wydać! Nie pytając o zdanie! Nie szanując serca mego! Nie zważając...

Znów łzy zrosiły jej różane lica. Aniela objęła ją i przytuliła.

– Nie znam owego Oszukalskiego – powiedziała, gdy szloch panny przycichł – ale czemuś mu nie ufam.

– To bogaty neoszlachcic, posesjonat, w sąsiednich województwach ma substancje znaczne...

– O!

– Żadne „O!” Wiem tyle, że człek to w latach posunięty. A nawet gdyby był piękny i młody, to i cóż, skoro... – znów zachlipała.

– A jeśli to wszystko dlatego tylko, że pan nie wie o twym wybranku? – podsunęła po chwili służka.

– Ach, gdyby tak było! Ale nie śmiem przedstawiać go ojcu teraz, kiedym się przekonała, że pała doń nieprzezwyrodną niechęcią.

– Jak to być może! – zdumiała się Aniela. – Nie zna go, a już nienawidzi? Czemuż to?

– Bo mój wybranek to... – zająknęła się Klara – Leander!

Przez chwilę tylko cisza wibrowała intergalaktycznie.

– Tak i myślałam – pokiwała wreszcie głową służka. – Alem się nie spodziewała, że już do wzajemnych zobowiązań przyszło...

– Ojciec znieść go nie może, bo to kosmita.

– Albo to co złego być kosmitą? Leander gładysz, sławny, mądry, utalentowany, wszechświat znający... – rozmarzyła się Aniela.

– Dla mego ojca kto nie Ziemianin, a przynajmniej humanoid, to niewart nic zgoła.

Chwilę obie milczały ponuro.

– A Leander waćpannę miłuje?

– Och! Jeśli choć w ćwierci tak mocno, jak ja jego! – zawołała Klara z za rzewnej zasłony łez. – W sercuśmy tacy sami, a ściana między nami! Aż się boję pomyśleć, cóż będzie, jeśli ojciec napotka nas razem! Skazani jesteśmy na spojrzenia z oddali i pośrednictwo dusz przyjaznych... – wstrząsana następnym spazmem szlochu, ścisnęła Anielę za rękę.

Ale służka zmarszczyła brwi.

– Waszmość panno, toż mamy XXVII wiek! Trzeba rzec ojcu waćpanny bez ceremonii, że za starego Oszukalskiego waćpanna nie wyjdiesz i że wolę masz ku Leandrowi. I basta! A jeśli ojciec się nie zgodzi, to trzeba zagrozić, że waćpanna wybędziesz z Krainy i więcej nie wrócisz!

– Och!

Przez twarz neoszlachcianki przemknęły sprzeczne emocje, oczy jej to błyszczały, to przygasały, zaś usta to drżały, to zaciskały się.

Domyślcie się sami z owych paroksyzmów mimiki, co dzieje się w duszy pięknej panny. Domyśliwszy się, za moim przewodem przenieście się łaskawie do dworu, gdzie pan Staruszkiewicz szykuje się na przyjęcie z dawna oczekiwanego gościa.

– Bartłomiej, niech dziś będzie suta wieczerza, wety i leguminy, bal z fajerwerkiem, i koniecznie iluminacja. Naszykuj mój najlepszy kontusz i pas. Nadto każ zatoczyć armaty, by powitać gościa stosowną salwą. Wszystko ma być jak na przyjęciu u księcia wojewody!

Bartłomiej pokłonił się i odszedł. Staruszkiewicz kręcił się przez chwilę po izbie, jedną dłoń za pas kontuszowy wetknąwszy, drugą zaś kręcąc niedbale wąsa. Znać, że mężczyzna

był to niegdyś dorodny, choć dziś już wiek mocno do ziemi go przygiął. Niewidzącym wzrokiem prześlizgiwał się po telepikturach zdobiących ściany, ergonomicznych fotelach obitych syntzłotogłowie i zawieszanej nad kominkiem szabli świetlnej. Wreszcie poniechał jałowej czynności i udał się do pokoju małżonki.

– Rzeźba gotowa? – spytał oschle.

Pani Staruszkiewiczowa pożegnała się już była z Jowialską, a teraz komenderowała służkami, odkurzającymi kolekcję proximacentauriańskiej porcelany.

– Jeszcze dni kilka – rzuciła od niechcenia.

Neoszlachcic nasrożył się.

– Ileż jeszcze cierpieć będę musiał u siebie tego obmierzłego insektoida z Psiej Wólki, tfu, Gwiazdy?! Hultaj siedzi już drugą tuzinkę, po pokojach odnóżami stuka, ludzi fizjognomią straszy, potrzeby załatwia strach pytać gdzie, a rzeźby jak nie masz tak nie masz! Czy on w ogóle cośkolwiek robi?

– Ależ tak! Co dzień widzę nowe wersje rzeźby, jedną piękniejszą od drugiej. Prosiłam, abys przyszedł zobaczyć, lecz ty ciągle swoje. Może byś się przekonał...

– Co to, to nie! – nastroszył się Staruszkiewicz. – Wprzód słońca w miejscu staną, niż ja zaszczycę tego pokrakę spojrzeniem. Gdyby nie twoje ciągle perswazje, nie wpuściłbym ja za próg żadnego ufoludka! – zachnął się i przysiadł na fotelu. – Niech już wraca na tę swoją planetkę, gdziekolwiek ona orbituje. Kiedyż zamiaruje kończyć?

– Za dni parę – powtórzyła cierpliwie.

– Niech mu kat świeci! A nie mógłby dziś? Bo wiesz, Oszukalski przyjeżdża...

– A czy on taki sam jak ty pies na kosmitów?

– Zaraz tam pies. Ziemiannin rzetelny, ot, co. Wojażował po kosmosie jak mało kto, ale wie, że najlepiej siedzieć na własnym kawałku ziemi. A on tych kawałków ma sporo, i nieszpetynych – uśmiechnął się chciwie. – Klara panna posażna, ale na tym węźle nie tracimy, bo Oszukalski chce kupić substancję w sąsiedztwie. Połączymy majątki, a że kosmożyto idzie teraz do miast jak woda i będzie tak iść jeszcze długo, to ho, ho...

Pani Staruszkiewiczowa tylko najwyższym wysileniem woli powstrzymała ziewnięcie.

– A Klara cóż na to? – spytała, by obrócić rozmowę na bardziej zajmujące tory.

– Cóż Klara? – zdumiał się Staruszkiewicz. – Oszukalski ze wszech miar doskonała partia. W tym roku tak ubogim w złe omeny trzeba ich koniecznie ze sobą złączyć. Co ja mówię w tym roku, w tym dniu!

– Jakże to? – przeraziła się Staruszkiewiczowa.

– A tak! – Wziął się pod boki. – Oszukalski wyjeżdża jutro do Gwiazdy Polarnej, nie wróci przed rokiem, a do tego czasu mię oddaje zarząd nad swymi włościami. Grzech byłby odwlekać. Jeden kłopot – znów spochmurniał – że ta kreatura patykowata będzie dziś na weselu...

W tej chwili rozległ się stukot i w drzwiach stanął kosmita.

– Słyszał? – szepnęła pani Staruszkiewiczowa do męża.

– A ma on w ogóle jakie uszy? – odburknął.

Tymczasem Leander bez śladu urazy, za to bardzo nisko pokłonił się obojgu.

– Proszę o wybaczenie – wysyczał – jeśli w czymś przeszkodzę, ale teraz w ogrodzie słońca świecą srodze. Spytać się więc ośmielę w strachu przed odmową, czy zechciałaby pani sesję zrobić...

– A to i dobrze się składa – przerwał mu wpół słowa Staruszkiewicz, patrząc na małżonkę. – Tuszę, że chętnie udasz się w plener? Nie musicie się śpieszyć, zwłaszcza ty – skinął głową w kierunku Leandra, lecz spojrzeniem go nie zaszczycił – gdyż w domu będzie teraz dużo zamieszania.

– Dobrze, imć Leandrze, zaraz wyjdę do ogrodu – rzuciła Staruszkiewiczowa.

Kosmita pokłonił się i oddalił.

- Antoni – załamała ręce Staruszkiewiczowa – Bój się Boga, tak spostonować gościa!
- Cóż to za gość... – wyduł usta Staruszkiewicz.
- Jeśli słyszał, to zraniłeś jego uczucia!
- Neoszlachcie aż się zatrząsł cały ze śmiechu.
- Dobre sobie!
- A bo to kosmici nie mają uczuć?
- Ufok i uczucia! Cha cha!
- Jesteś doprawdy niemożliwy. Jeśli nie chcesz okazać mu respektu jako istocie rozumnej, to przynajmniej okaż mu go jako fortunatowi.
- Kosmita fortunatem?! Cha cha! A to dobre!
- Antoni, co z tobą? Toż Leander rzeźbiarz sławny na pół galaktyki!
- A niech sobie będzie sławny i na pół setki galaktyk, mię to furda! – machnął ręką rozchichotany Staruszkiewicz.
- Doprawdy, zaskakujesz mię, Antoni. To może docenić choć to, że on szlachetnie urodzon...
- Tu przerwał jej kolejny wybuch śmiechu. Zacięła usta i umilkła, piorunując wzrokiem podrygującego ze śmiechu męża.
- Duszko – Staruszkiewicz otarł wreszcie łzy i wstał – idź ty już lepiej do ogrodu, bo ufokowi zrobi się przykro! – Zarechotał zadowolony z własnego dowcipu i udał się do swoich zajęć.
- A co u waćpanny i jej służki, ktoś zapyta? U Anieli niewiele – odesłana do dworu, nie może się nacieszyć napowietrzną zabawką. Klara za to z uwielbieniem przygląda się, jak Leander rzeźbi w ogrodzie jej matkę, i cierpliwie czeka, aż zostanie z nim sam na sam. A kiedy to wreszcie następuje...
- Klaro!
- Leandrze!
- Szeptu utonęły w szumie drzew. Na pięknie różniące się oblicza padł migotliwy cień drżących na wietrze liści. Kończyny splotły się, oczy utonęły w sobie wzajem, serca zabiły w jednym rytmie.
- Takie bliskie nasze dusze, a tak daleko nam na świecie...
- Klaro, serc moich pani, los ściga nas srodze, lecz mimo trudów życia nie ustane w drodze!
- Ach, ty nie znasz mego ojca! Gdyby on choć trochę cię lubił, choć szanował nieco! Niestety! Dziś przyjeżdża ten Oszukalski, ojciec mu sprzyja, wystarczy jedno słówko, a wszystkie drogie nam nadzieje przepadną w jednej chwili!
- Trzeba rzucić sekreta, niech nas widzą, śledzą, winniśmy żyć otwarcie, niech już o nas wiedzą!
- Miły mój! Wrogość ku tobie mego ojca nic dobrego nam nie wróży. Dowiedziawszy się o nas, wpadnie w gniew, a wtedy okrutnie będziemy rozdzieleni...
- Więc porzucmy Krainę! W kosmos lećmy razem! Czasu nie ma co tracić! Pakuj się, a gazem!
- Serce mię boli na myśl, że tą drogą może przyjść nam podążyć! Ale bardziej jeszcze boli na myśl o rozłące z tobą. Jeśli trzeba będzie, ruszę na tułaczkę! Pójdę za tobą wszędzie, w każdy zakątek *universum*!
- Będzie nam z sobą miło! Z najdzikszej pustyni miłość, wierzą mi, ogród rozkoszy uczyni!
- Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem...
- Śluby gdzie bądź zawrzemy, wszystko będzie legal, zamieszkamy gdziekolwiek, Mars, Wóz czy Senegal!
- Ach, Leandrze, w głowie mi się mąci, nie mam władzy mówić ni radzić w tej

potrzebie, bo truchleję o nas, a co gorsza, uchodzić mi już trzeba, nim moja nieobecność zbyt widoczną się stanie. Tulić cię okamgnienie, a potem dzień cały udawać, żeś mi Obcy, to ponad me wątle siły...

– Klaruniu, krótkie z sobą spędziliśmy chwile, ale one mię przeszły tak słodko, tak mile!

– I mię, najdroższy! – z tymi słowy Klara wybuchnęła szlochem. Leander przygarnął ją do odwłoka i trwali tak czule przytuleni wbrew wszystkiemu...

Ciąg dalszy owej rozrzewniającej scenki zostawiam wyobraźni P.T. Czytelników; tymczasem przenieśmy się nieco w przyszłość, kiedy oto do wtóru armatnich salw zjawia się wreszcie rzeczony Oszukalski – *homme fatal* tej skromnej opowieści.

Jest to człek w latach nieco już posunięty, lecz wciąż wcale dziarski. Po żywych oczach i czerwonych policzkach poznać można od razu gorączkę okrutnego. A co będzie, kiedy otworzy usta?

– Ach, panie Staruszkiewicz! Niechże mię waszmość pocieszy w mych turbacjach!

– Cóż się stało, mości dobrodzieju?!

Oszukalski wyjął z zanadru neopapier.

– Właściem otrzymał wiadomość, że Dniepr wielkie mi szkody poczynił w moich dobrach nowowielkopolskich!

Staruszkiewicz wyciągał ręce, by ująć Oszukalskiego za ramiona, lecz zdumienie sprawiło, że zatrzymał się w pół gestu.

– To i aż na innych kontynentach masz waćpan dobra?

– Kilka baz jeno dość ludnych i pola rozległe tu i ówdzie – zapytany złożył usta w ciup.

– A i działek oceanicznych kilka ostatnio w arendę wzięłem, tak na próbę, czy uda się z nich ciągnąć godziwe jakoweś profity.

– No, no, to waść jeszcze większy posesjonat niż się zrazu przedstawiał! – Staruszkiewicz kordialnie uściskał Oszukalskiego, jednocześnie robiąc za jego plecyma butną minę do córki. Ta spuściła wzrok zawstydzona. – Widzę, że w waćpanu modestia bogactwu równa!

– Jeśli wolno się wtrącić, waść to wiedzieć musi, czy Dniepr nie płynie aby przez łąd Nowej Rusi? – odezwał się zniemacka milczący dotąd Leander, zwracając na siebie oczy wszystkich obecnych.

– Dniepr w Nowej Wielkopolsce jest to rzeczka mała, lecz to samo ma nazwisko, co i wielka. Niektórzy ją zowią Drwęcą – odparł niezdetonowany Oszukalski.

– Czy to znów nie jest rzeka, waść daruj mą opinię, co miast przez Wielkopolskę, przez Nowe Prusy płynie?

– Rzecz to jasna, w Nowych Prusiech byłem i rzekę ową podziwiać miałem sposobność, ale ta nasza pospolicie dla różnicy od pierwszej zowie się Drwęczykiem.

Klara spojrzała w oczy Leandra; gdy wszystkie zdawały się patrzeć przymilnie na Oszukalskiego, jedno nieznacznie wygięło się na szypułce, spoglądając w bok. Na nią. I to znacząco.

– Żałuję bardzo tak znacznej szkody w dobrach waćpana – odezwała się cicho, tknięta nagłym impulsem – ale mi dziwno, ponieważ o suchej porze roku pospolicie małe wody bywają na rzekach, a szczególnie na małych rzeczках...

– Klaro, gościowi przynależy szacunek – fuknął ojciec. Ale nieoczekiwanie sam Oszukalski stanął w obronie Klary.

– Niech młoda dama pyta, ja umiem docieklivość cenić, choćby mi kto i leż zadawał! – zaśmiał się hałaśliwie. – Wraz z czystym sumieniem ta zdolność przychodzi. Pytasz waszmość panno, skąd mała rzeczka o suchej porze poczynić może wielkie szkody. Z pierwszego wejrzenia istotnie zdaje się rzecz ta być osobliwą, ale wiedz, iż rzeczka owa jest cudem natury: kiedy inne schną, ona się wzmaga. Zapewne muszą ją zasilać jakoweś podziemne źródła, których przebieg nie został jeszcze odkryty.

– Święta to prawda – sekundował mu Staruszkiewicz – iż wiele jest rzeczy osobliwych w tym układzie słonecznym, o których cudzoplanetnicy – tu rzucił w kierunku Leandra kose spojrzenie – pojęcia nijakiego nie mają.

– Szczęście waćpana – wtrąciła Staruszkiewiczowa – że masz tak olbrzymie włości. Strata owa nie powinna zbyt waćpana zabołeć.

– Jakże ma nie zabołeć, mości dobrodziko – zakrzyknął żywo Oszukalski, – skoro z tych pól podmokłych nie zbiorę już w tym roku kosmoryżu, a samego zeszłego roku teleportowałem kilkaset kontenerowców najlepszego ziarna!

– Kilkaset kontenerowców? Patrzaj no waćpan!

– A ja myślałam, że ryż wody potrzebuje! – pisnęła Aniela i jakby przerażona własną śmiałością wyprysnęła z pokoju jak pestka kosmowiśni spomiędzy palców.

– Wybacz waćpan – mruknął Staruszkiewicz po chwili niezręcznego milczenia. – Niepoczciwa to paszczyka, lecz niewarta uwagi. Młode to, płocze, a wnet i wyrzucone ze służby...

– Aniela wyrzucona ze służby? – wzdrygnęła się Klara. – Przebóg, ojczel!

– Nic nie szkodzi, mości dobrodzieju – machnął ręką Oszukalski. – Większe mię despekty w życiu spotkały i zawszem wybaczał, jak to mi wielka dusza nakazuje. Ot, choćby w układzie Psiej Gwiazdy. Za młodu wołałem wydawać intraty z dóbr moich na wojaże i aż w tamte zapomniane przez ludzi zakątki wszechświata zapędziłem był się. Teraz roztropniej już gospodaruję. Ale to mniejsza. Otóż zatrzymałem się był w układzie tejże Psiej Gwiazdy. Podejmował mię miejscowy kacyk, który u tych dzikusów za króla stoi. Okrutnie groźnie tambylcy się prezentują. Nie mylili się starożytni astronomowie takie nazwisko gwieździe owej dając, bo gdzie nie spojrzycie waćpaństwo, zewsząd same się psie mordy szczerzą. Zrazu pojmać mię chcieli, jakbym to ja, nie oni, był dzikusiem. Opadli mię sforą i gwałtem do klatki zapędzić próbowali. Mszcząc się obelgi mojego honoru, bez cienia strachu stawilem im czoła, bom z mlekiem matki husarczy wyszał *spiritus*. W pojedynkę szarżę skuteczniejszy, natratowałem ich moc i mało mi jeszcze było, ale o łaskę uniżenie wnieśli. Wtedy się pokazało, że wielce cenią męstwo i że w istocie najpoczciwsze to stworzenia pod ciemną materią. Przesiedziałem pośród nich kilka lat tamecznych. Jedną razą kacyk ów zabrał mię na polowanie. Jakem ustrzelił największego kota w dziejach planety, tak chcieli obalić króla swego, by w jego miejsce na tronie moją skromną osobę osadzić, ale mimo niezliczone zaszczyty, do swoich wołałem wrócić. Z wdzięczności kacyk podarował mi złotą kość przemyślnie dyjamentami inkrustowaną... – umilkł na chwilę, widząc, że towarzystwo sponurzało nieco. – Chętnie bym waćpaństwu dziwo owo pokazał, lecz niestety! Straciłem je przez piratów z Obłoku Magellana, kiedym przez tamtejsze sztormy i wiry doma zmierzał. Cóż to była za bitwa! Ledwom uszedł z życiem...

Znów umilkł, widząc, że twarze słuchaczy dziwnie stężały, i uniół brwi w grymasie, który – jeśli wolno autorowi podsunąć własną interpretację – zdawał się wskazywać na pewne zaniepokojenie.

– Waćpan musiał nie dosłyszeć – przerwała dźwięczną ciszę Klara – kiedy imć Leander przedstawiał się waćpanu. – Rzuciła kosmicie spojrzenie. Ten uklonił się, jak gdyby dopiero po raz pierwszy widział Oszukalskiego, i wyrecytował:

– Jam jest hrabia Leander, przybysz spod Psiej Gwiazdy, dziś artysta najemny, niegdyś rotmistrz jazdy!

Na te słowa pan Staruszkiewicz zdumiał się niepomierne. Wcześniej ledwo co spojrzął na Leandra przy powitaniu, nie zwracając większej uwagi na jego sykliwe przedstawianki, stronił odeń jak tylko mógł, a teraz okazywało się, iż ten przybysz spod Psiej Gwiazdy to w istocie i szlachcic, i niegdysiejszy żołnierz! Czy ufoludek zna co to honor i męstwo? Czy nie-Ziemianin może być ziemianinem? Czy małżonka ma rację?

– Alboż to jedna Psia Gwiazda jest we wszechświecie? – przeszkodził deliberacjom

Staruszkiewiczza Oszukalski. – Spod której waść pochodzisz, jeśli wolno spytać?

– Spod tej jednej, w Drodze Mlecznej – odpowiedziała za Leandra Klara. I znów zdumiał się pan Staruszkiewicz, tym razem wiedzą córki o gościu.

– Tak i wszystko klarownym się staje! – rozpromienił się Oszukalski. – Ja odwiedziłem tę w Galaktyce Andromedy. Cóż to za wspaniała galaktyka! Ileż tam gwiazd, ile planet, ile czarnych dziur! Prawdziwie ubóstwiam naszą Drogę Mleczną, niech kto zaprzeczy, a zaraz dam mu pola, lecz ona niegodna Galaktyce Andromedy słomy z butów wytrzepywać! A waćpan z Psiej Gwiazdy w naszej galaktyce? Tuszę, że nie pogniewa się waćpan na mię, jeśli zapragnę kiedy poradzić się go w kwestii peregrynacji w tamte rubieże. Kto wie, może wybiorę się tam wnet po powrocie z wyjazdu do Gwiazdy Polarnej? Tak, koniecznie uczynić to muszę!

– A teraz koniecznie wybierzmy się na grzybodranie – zaproponowała zniecka pani Staruszkiewiczowa. – Wieczór taki piękny i ciepły...

Jak powiedziała, tak zrobili. Dokąd sięgnąć okiem, spomiędzy kęp kosmotrawy wystawały niebieskawe kapelusze grzybodrani. Spacerowicze-grzybiarze założyli na buty plastochrony i słuchając rozmaszystych opowieści pana Oszukalskiego pracowicie kopali i deptali trujące wybryki miejscowej przyrody. Po oderwaniu od grzybni kapelusze błyskawicznie kurczyły się i czerniały, a trucizna ulegała utlenieniu i stawała się niegroźna, lecz wszyscy mieli tę świadomość, że nazajutrz trawniki znów będą usiane sinymi łepkami. Kres ich rozrostowi położyć miał dopiero zimowy zamróz. Albo prowadzone przez najtęższe mózgi planety badania nad pozbyciem się groźnych szkodników z obszarów mieszkalnych i uprawnych raz na zawsze.

Tu drobny odautorski wtręt historyczny: pierwsi kolonizatorzy na Krainie zrazu zdumiewali się, że owych wszechobecnych grzybów czerw nie zjada, i dziwna, żaden owad na nich nie usiada. Wkrótce jednak przekonali się, że drzemie w nich straszna śmierć. Od tej pory na całej planecie toczyła się bezpardonowa walka ludzi z grzybodraniem na buty i kije z jednej, a truciznę z drugiej strony.

Ale spójrzcie na Klarę. Koło jednego niebieskiego kapelusza przechodzi obojętnie, we własnych myślach zatopiona, inny zaś kopie i rozgniała z ledwo tłumioną wściekłością. Sądząc po spojrzeniach, najchętniej skopałaby coś tudzież rozgniotła komu innemu. Wreszcie nie może już dłużej znieść opowieści Oszukalskiego.

– Anielu najdroższa – szepnęła podążającej nieco z tyłu służce – idź do dworu i naszykuj moje rzeczy do wyjazdu. Ale cichaj! – dodała, widząc, jak usta dziewczyny otwierają się w proteście. – Jest jeszcze nadzieja. Coś mi się widzi, że mój zaściankowy ojciec nie zlustrował Oszukalskiego zanim zechciał dać mu wiarę oraz córkę. Ten neoszlachcic rad klimkiem rzuca, a ja nie wierzę w ani jedną jego opowieść! Sprawdź go w bazach danych, przejrzyj interwici. Byle szybko, bo jeśli będę musiała uciec, by uniknąć tego ślubu, to natychmiast, a jak już ucieknę, to w srogie popadnę terminy i mogę nie móc już nigdy tu wrócić!

Przerażona, ale i pełna nadziei Aniela popędziła do dworu, a panna Klara zbliżyła się ponownie do ojca, nabożnie słuchającego gościa.

– Ostatnią tedy razą byłem na Ziemi przed półrokiem. Zaraz kiedy wylądowałem opodal Krateru Kopernika, trafiła mi się osobliwa awantura...

– Czy to ten sam Krater Kopernika co na Księżycu? – rzuciła z tyłu Klara.

– Klaro! – huknęła Staruszkiewicz.

– Osa! – zaśmiał się Oszukalski. – Osa to jest! Nie gniewaj się mości dobrodzieju na córkę. W rzeczy samej ciekawość, a nawet wścibstwo jest to przymiot młodości. Młodzi mężczyźni nie zawsze potrafią właściwie estymować owe przymioty, lekce je sobie ważąc, ale mężczyźni dojrzały...

Klara spiekła raka i odeszła nieco w bok, kryjąc się w półmroku emanującym od

brzoźkowego zagajnika. Po tęsknych spojrzeniach rzucanych ukradkiem w stronę hangaru poznać można, że marzy jej się teraz dziki lot egzogiezem het, po sam horyzont.

– Co więc do owego krateru, to jeden nazwali na cześć drugiego. Ale wracając do moich perypetii na Ziemi...

Klara nie słuchała już, pogrążając się w rozmyślaniach. Ten Oszukalski mierzył ją okrutnie. I tak bardzo, bardzo było jej żal Leandra i siebie samej...

Rozległ się lekki tupot. Aniela!

– Spakowałam panienkę – szepnęła zdyszana służka – a Oszukalski mówi prawdę!

Świat zawirował przed oczyma Klary.

– Nie może być! Te opowieści o substancjach, wojazach...

– Prawdziwe! Widać trochę on kolorysta, fantastyk, coś mu się pewnikiem w głowie kićka bo stary, ale ogółem prawdę rzecze...

Klara poczuła, że robi jej się słabo. Nie uszło to szypułkowanym oczom Leandra. Ale zanim chude odnóża zanosły rzeźbierza w pobliże panny, rozległ się głos pani Staruszkiewiczowej.

– Dzisiaj zachód słońce jednoczesny! Prosimy na coolig!

– Nie lepiej poczekać, aż wszyscy goście na wieczór zjadą? – krzywił się Staruszkiewicz. – Przy gwiazdach jazda też piękna.

Ale Oszukalski zapalił się już do pomysłu, a przecie gość w dom... Niebawem służba naszykowała do lotu trzy aerokolaski. W pierwszej zasiedli państwo Staruszkiewiczowie, w drugiej Klara z Oszukalskim, a w trzeciej Aniela z Leandrem. Klara kurczyła się w sobie, siedząc ramię w ramię z podeksycytowanym neoszlachcicem. Orszak wzbił się pod niebo. W dole roztoczył się czerwono-złoty bezmiar pól Nowej Litwy. Daleko, hen, za wzgórzami, na widnokregu siniała pręga Oceanu Bałtyckiego, w którego toń zapadały właśnie oba słońca, śląc na wszystkie strony wielobarwne blaski.

Oszukalski nie czekał długo, nim nachylił się do panienki.

– Już zbliża się ten moment, kiedy łaskawe fata mogą nasycić moje sentymenta – szepnęła żarliwie. Zmieszała się wielce i nakrywszy oczy długimi rzęsy siedziała zawstydzona. Tymczasem neoszlachcic pałł oczy.

– Jak mi Bóg miły, rarytet! – mlasnął wreszcie. – Dam na sto mszy, że Bóg mi cię zapisał!

– Nie tak prędko, jeszczem nie waćpana!

Wtem szum pędzącego powietrza zagłuszył ripostę Oszukalskiego, a ostre szarpnięcia zmusiły go do złapania się poręczy. Wiatr nie sprzyjał cooligowi; widomie sprzyjał za to Klarze, studząc niewczesny zapal neoszlachcica. Nagle aerokolaskami targnęła potężna turbulencja. Klarze suknię podwiało nieprzystojnie, szczęściem w tejże samej chwili Oszukalskiemu kontusz zarzuciło na głowę.

– Lądujem! – przez ogłuszający szum dobiegł pasażerów głos Staruszkiewicza. Orszak zniżył lot i wkrótce wylądował pod hangarem.

– Ot, i coolig się nie udał – rozłożył ręce Staruszkiewicz. – Spodziewałem się, że pogoda nie dość dobra, ale małżonce zwykłem ulegać we wszystkim.

– Wracajmy do dworu wygrzać się i wychędożyć – powiedziała zafrasowana Staruszkiewiczowa.

Tak też uczynili. Klara została w tyle, byle dalej od Oszukalskiego, i szła półprzytomna a skołowana, jak gdyby jej kto kwartę atomówki zadał. Z otumanienia wyrwał ją dopiero cichy acz natarczywy głos służki:

– Waćpanno! Zaczekaj!

Zatrzymała się i spojrzała w oczy towarzyszącego Anieli Leandra – jedne smutne, drugie gniewne, jeszcze inne błyszczące nową energią.

– Jeśli nie chcesz mojej zguby – wyjąkała w najtkliwszym rozkwileniu – w kosmos dyla

dajmy luby!

– Pst! Panienko! Oszukalskiemu dokumenta wywiało z zanadru! – szepnęła Aniela, podając Klarze zgnieciony neopapier. – Szczęściem pan Leander pochwycił jeden językiem!

Klara zmrzyła oczy, starając się odczytać tekst w narastającym półmroku. Była to kopia listu.

Memu z dawna komiltonowi Aleksandrowi Marnotrawskiemu.

Dobra nasza! Dziś już wydrę pieniądze temu zdiadziałemu dudkowi. Kusi mię pofiglować z nim jeszcze, prócz posagu i inne dobra mu zagarnąć, bo tyka on bajania moje jak złaknieni psi mięso, ale dam już pokój, aby na zbędne periculum naszego przedsięwzięcia nie narażać. Pannie pewnikiem ulży, jak mię rano nie stanie; gładka to zaiste gadzina! Tak i jej ojcu ulży w skarbczyku okrutnie. Węzeł nieledwie już zawiązan, posagowe dwa miliony możesz WMość wciągnąć w registr. Jutro termin drugiej spłaty fałszerza baz danych, ale ów nie będzie już potrzebny, skoro uchodzim stąd pierwszym chronopromem o świtaniu i szukaj wiatru słonecznego w polu grawitacyjnym!

Łasce się zalecam,

Franciszek Oszukalski

W Czohranii, 6 Septembris 2647

– A to niecnota! – jęknęła Klara zbielełymi ustami. – Tak podejść ojca! Tak go wystrychnąć! Tak mię zwodzić!

– Nie omyliłam się, że od początku nie ufałam temu neoszlachetce – pokiwała głową Aniela.

– Czas waćpanno ucieka, działać szybko trzeba, ojca waćpanny ostrzec, nim blask zejdzie z nieba! – szepnęła Leander.

Wymienili spojrzenia. Po raz pierwszy od dawna w ich duszach zagościła nadzieja na lepsze jutro. Rezulutnie ruszyli do dworu, który otwierał już podwoje przed gośćmi z całej okolicy.

Bartłomiej okręcał właśnie złotym pasem Staruszkiewicza, rozmawiającego z Oszukalskim, gdy do pokoju weszła Klara z Leandrem i Anielą.

– ...płacą dwanaście od sta. Intraty to nieliche! Mości dobrodzieju, wyjadę jutro w spokoju ducha, ufny, że włości moje w dobrych zostawiam rękach. Jeszcze dziś przed północkiem akt spiszę...

– Ojczy! – wybuchnęła Klara.

– A któż to widział wchodzić tak bez ceremonii! – obruszył się Staruszkiewicz. – Jakąż impresję chcesz wyrzucić na swoim przyszłym małżonku?

– Małżonkiem on moim być nie może i nigdy nie będzie! – zawołała zapalczywie i nim ojciec ochłonął po takim pokazie braku szacunku wobec władzy rodzicielskiej, wcisnęła mu neopapier w dłoń. – Czytaj, ojczy drogi!

Staruszkiewicz machinalnie przebiegł list oczyma. Wtem twarz mu nabrzmiała, policzki pokraśniały, a na czoło wystąpiły szkarłatne żyły. Nie trzeba opisywać, jakie myśli przebiegały mu przez głowę! Odwrócił się do Oszukalskiego i bez słowa wręczył mu list.

Neoszlachetce wystarczyło jedno spojrzenie. Wstrząsnął się gniewnie, ale zdzierzył i uśmiechnął się ponuro.

– Zdrada to, dobrodzieju, nikczemność i leż. Wielu mam wrogów, którzy wszystko uczynią, by mię oczernić i przedsięwzięcia moje pokrzyżować. Ale nie pierwszozna mi łajdakom nos ucierać. Zaraz po ślubie udam się do wojewody, by wszczął...

– Mospanie Oszukalski, próżno przede mną te rzeczy udajesz – przerwał mu Staruszkiewicz głosem dźwięcznym jak asteroidowa stal. – Teraz widno, co asan za człowiek jesteś.

– Ależ mości dobrodzieju, jakie rzeczy udawane? Jaki ja człowiek?
– Hultaj i łajdak! Dostyc długo wierzyłem asanu, ale ten czas już minął.
– Cóż to słyszę? Waszmość pan żartujesz?
– Asan dotąd żartowałeś ze mię, ja zaś nie żartem proszę, abyś odtąd w moim domu nie chciał bywać.

– Ależ wszystko gotowe! Goście inwitowani! Jam już wszędzie rozgłosił, że dzisiaj ślub biorę z córką waszmość pana!

– To asan sobie odgłoś, a o cudzych gości się nie trap. Kłaniam się najuniżeniej i żegnam!

To rzekłszy, Staruszkiewicz wskazał Oszukalskiemu drzwi. Ten jednak stał jak wryty, a z oczu jęły mu się sypać skry.

– Czekaj waść, bo mię desperacja bierze!

– A niech bierze i cholera! – na dobre rozsierdził się Staruszkiewicz. – Fora ze dwora, szelmo! Bo elektropsami poszczuję!

Na takie *dictum* Oszukalski spurpurowiał, jakby go zaraz wściekłość na strzepy roznieść miała!

– Gorze mi, gorze!! – warknął szczerząc zęby i porwał się do szabli świetlnej. – Zaraz ja cię tu, potwarco, kutwo jedna... Gińże albo pieniądze dawaj!

Świadkowie sceny wciągnęli głośno powietrze. Ale Staruszkiewiczowi w żyłach jeszcze nieleniwa krew płynęła. Rzucił się do swej wysłużonej, zażywającej wywczasu na ścianie demeszki. Dwa ostrza, jedno świecące czerwienią, drugie błękitem, zderzyły się z przyprawiającym o ból głowy bzykotem. Oszukalski natarł z furią, którą tylko potęgował zacięty opór oponenta. Ale czas nie grał po stronie Staruszkiewicza. Jeden, drugi, trzeci cios, sztych, zwód, i!

– Demeszka mi uszła! – krzyknął neoszlachcic wniebogłosey, patrząc, jak błyszczące ostrze wylatuje mu z ręki i rozcina syntjedwabne okrycie ścian. Oszukalski z rykiem tryumfu zamierzył się, by zadać niedoszłemu teściowi śmiertelny cios...

...gdy raptem w powietrzu śmignął język Leandra i oplótlszy szablę Oszukalskiego, wyrwał mu ją z dłoni!

– Pogański synu, psiawiaro! – wrzasnął neoszlachetka i z gołymi rękoma rzucił się na kosmitę.

Temu groźnie nadęły się tchawki, a na głowotułowiu wystąpiły czerwone plamy ostrzegawcze. Napastnik nie zważał jednak na to – i na swą zgubę! Bo oto raptem z gruczołu jadowego zlokalizowanego nad szczękoczułkami Leandra tryska zielonkawa strużka i zrasza czoło Oszukalskiego – padł jak rażony gromem!

– Wyzionął ducha?! – pisnęła Klara.

– Oszołomion jeno. Jutro ocknie się już pod aresztem wojewodzim – odparł Leander zmienionym głosem. Sygnalizujące agresję plamy jęły zanikać. Podszedł do Staruszkiewicza.

– Jak zdrowie waszmość pana?

– A niezgorzej, niezgorzej...

Neoszlachcic podniósł się z pomocą kosmity i spojrzął mu w oczy. Przez moment nie mógł się zdecydować, w które konkretnie powinien patrzeć.

– Dziękuję – uśmiechnął się wreszcie. – Życieś mi uratował.

– Wielki to dla mię zaszczyt waści cześć ocalić i ku dobru familii kanalię powalić – uklonił się spokojny już Leander.

Chwilę bez słowa mierzyli się wzrokiem.

– Zatem byłeś rotmistrzem jazdy? – zapytał wreszcie z ciekawością Staruszkiewicz. – A gdzie i z kimś się zmagał?

– Z Centaurami na Alfie, na Orionie z Pasem, z Alienami w kosmosie, a na Ziemi z Asem.

– Toś był i na Ziemi! – zdumiał się Staruszkiewicz. – Cóż tam jeszcze robił poza wojaczką?

– Rzeźby, ojciec.

Klara podeszła i ujęła Leandra za odnóże.

– Leandra umiejętności rozchwytywali najwięksi i najbogatsi Ziemianie – powiedziała z nieskrywaną dumą. – A pomimo to poświęcił swój cenny czas, by gratisowo uwiecznić w rzeźbie największych królów i najmniejszych hetmanów: Stefana Batorego, Jana Sobieskiego, Stanisława Żółkiewskiego, Jana Karola Chodkiewicza, Ignacego Krasickiego. On prawdziwie wielbi naszą cywilizację!

Wiem, wiem, Klara istotnie wygląda teraz prześlicznie z pokraśniałym liczkami i rozdętymi chrapkami, lecz spróbujcie na chwilę oderwać od niej wzrok i spojrzeć w cokolwiek mocniej sterane oblicze Staruszkiewicza – toż ono nie może już bardziej się rozpromienić!

Wtem do pokoju wpada pani Staruszkiewiczowa z jakimś pakunkiem w dłoniach.

– Ach! – zakrzyknęła na widok pobjowiska i nieprzytomnego Oszukalskiego. – Cóż to ma znaczyć!

– Oszukalski to oszust – odpowiedział z powagą małżonek. – Przedstawiał się jako możny ziemianin, a naprawdę to łobuz, który czyhał jeno na posag Klary, z którym chciał czmychnąć gdzieś astropieprz rośnie. Szczęściem rzecz wydała się w sam czas.

– Zdrajca! – sapnęła pani Staruszkiewiczowa. Chwilę układała sobie wszystko w głowie, a potem nagle obróciła się ku Leandrowi. – I niejeden w tym nieskalanym od zarania występkiem domu! Oto macie drugiego zdrajcę!

– Matko! – krzyknęła Klara.

– Cóż to znaczy? – zmarszczył się Staruszkiewicz.

– Ot, cóż to znaczy!

Z tymi słowami otworzyła pakunek i wydobyla zeń rzeźbę Anieli dumającej pośród brzózek. Dzieło uniosło się i zawisło pod sufitem jako widomy *corpus delicti*.

– Oto zdrajca! – wskazała drżącym palcem na Leandra. – Ufok bez honoru ni sromu! Siedzi tu tygodnie całe, coraz to nowe próby robi, pieniędzy woła, a byle sługę potrafi wyrzeźbić raz-dwa! Ciekawam, jak mu zapłaciłaś! – zgromiła Bogu ducha winną Anielę. Ta potrząsnęła głową, ale Staruszkiewiczowa nie dała jej dojść do słowa. – Nie wykręcaj się! Miałaś to u siebie przy łożu! Wszystko się wydało, rozpustnico!

– Za pozwoleniem, matko – odezwała się Klara. – Wiem o tej rzeźbie i wiem też, że Leander nie czuje do Anieli nic poza przystojną sympatią.

– A skąd możesz to wiedzieć! – parsknęła Staruszkiewiczowa.

– Bo wiem, co on czuje do mię! Dowiedźcie się wszyscy, że się miłujemy!

Gdyby piorun wpadł teraz przez okno do dworu, nie uczyniłby większego wrażenia. Pani Staruszkiewiczowa zmieniła się w słup soli, pan Staruszkiewicz oniemiał, Aniela zdrętwiała na myśl o tym, co się zaraz stanie, Klara ścisnęła odnóże Leandra, jemu zadrżały oba serca, Bartłomiej uronił łzę, i tylko rozciągnięty na podłodze Oszukalski pozostał niewzruszony.

– Kosmita twym oblubieńcem? – wydusiła wreszcie Staruszkiewiczowa.

– Tak! – butnie odparła dziewczyna. – Nowe czasy nastały! Miłość przekracza bariery! Przerzuca mosty nad przepaściami! Międzywilizacyjnymi, międzygatunkowymi, międzyplanetarnymi! Teraz, kiedy się pokazało, jak nieludzki może być małżonek ludzki, śmiem prosić was, szanowni rodziciele, byście zechcieli się przekonać, jak ludzki może być małżonek nieludzki!

Pani Staruszkiewiczowa opadła na fotel, bliska omdlenia. Klara obejrzała się na ojca. O dziwo, jego oblicze nie wyrażało oburzenia.

– A już zachodziłem w głowę – myślał głośno Staruszkiewicz – co uczynić z gośćmi

przybyłymi na wesele, i do jakiej garkuchni odsprzedać naszykowane potrawy. Tymczasem...

– Ależ Antoni! – jęknęła Staruszkiewiczowa. – Przecie to kosmita!

– Tyleż razy gardłowałaś przy mię za cudzoplanetnikami. I któż teraz rani czyje uczucia? – spytał retorycznie i wniósł ręce do błogosławieństwa. Lecz małżonka podjęła ostatnią, desperacką próbę protestacji.

– Ależ ten kosmita zachował się niegodnie! Żądał przecie zapłaty za coś, co komu innemu sprezentował darmo! A kto wie, czy i nie po niegodziwej cenie!

– Matko! – tupnęła noga Klara.

– Nie wolno oceniać przedstawicieli innych cywilizacji naszą ludzką miarą – powiedział Staruszkiewicz z hetmańskim nieomal dostojeństwem. – Obcy, jak sama nazwa wskazuje, żyją wedle obcych norm kulturowych, ani lepszych, ani gorszych, niżli nasze. Należy wstrzymać się od łatwego osądu i szanować imię pana Leandra takim, jaki jest. Mię wiadomo jedno: to kawaler z fantazją, ufok grzeczny i godzien zaliczenia w poczet człowieczy.

Z tymi słowy ujął Leandra za głowę i ścisnął.

– Bierz waszmość tedy Klarę jak swoją.

W tej chwili wszedł Bartłomiej, który się był wcześniej dyskretnie wymknął.

– Waszmość panie, goście się zjeżdżają.

– Prawda! – powiedział Staruszkiewicz. – Wyjdźmy na ganek ogłosić szczęsną nowinę, a potem bawmy się! Śmiem wierzyć, że waszmość pan – tu pochylił głowę przed Leandrem – kunsztem swym uwiecznisz tę ekstraordynaryjną chwilę.

Leander pokłonił się nisko i objął Klarę. Odwzajemniła czuły uścisk.

Przestępując onieprzytomniałego Oszukalskiego, Staruszkiewicz dodaje z namaszczeniem:

– Nie każdy neoszlachcic to człek zacny, i nie każdy kosmita hultaj.

I ja między gośćmi byłem, syntmiód i neowino piłem, etc., etc.